

Wanda Chila

Blżej stypendysty!

Jedno z pytań ankiety, przesłanej niedawno przez Wydział Zatrudnienia Prezydium WRN do studentów, korzystających z tak zwanych stypendiów fundowanych, brzmiało mniej więcej tak: „czy wyobrażasz sobie inną, lepszą formę pomocy państwa dla studiujących?” 80% egzemplarzy ankiety wróciło do nadawcy. Większość spośród przekazujących swe uwagi, zastrzeżenia i propozycje młodzieży, na przytoczone wyżej pytanie odpowiedziała: „nie”. Można więc zatem, bez narażenia się na zarzut deklaracyjności stwierdzić, iż wprowadzony przed kilku laty na wyższe uczelnie system stypendialny, łączący w sobie elementy pomocy dla studenta i racjonalnej gospodarki nowymi kadrami naukowymi nie okazał się niewypałem. Niestety — o czym wszyscy zainteresowani dobrze wiedzą — nie okazał się również systemem doskonałym. Ponieważ jednak dotąd nie udało się nikomu wymyślić nic nowego, wypada dołożyć wszelkich starań, by jak najbardziej w miarę możliwości, przybliżyć go do ideału.

System daleki od doskonałości

Powszechnym i najistotniejszym zastrzeżeniem do systemu stypendiów fundowanych był ich daleki nie tylko od doskonałości, ale wręcz od normalnych obyczajów życia urzędowego — sposób przyjmowania. Nie wnikając w szczegóły, które zresztą omówiliśmy już uprzednio na łamach „Głosu”, przypomnijmy tylko, że przy zawieraniu umowy, zobowiązującej studenta do pracy u fundatora, obie strony pozostawały sobie nieznane, żadna nie wiedziała nic bliższego o drugiej, nie przetrzebano były również podstawowe, związane z umową, przepisy. Student wiedział, że będzie musiał pracować, nie wiedział — gdzie. Nie informowano go nawet najbardziej ogólnie o tym, czy przyszłe stanowisko związane będzie z produkcją czy z administracją, co jest przecież bardzo istotne dla toku studiów. Lata biegnęły, studia się kończyły, dyplomant stawał przed obliczem fundatora i — odtąd — pracodawcy, a często równocześnie przed obliczem tragedii osobistej, którą dopiero teraz sobie uświadamiał.

Można by tu kierować zarzuty pod różnymi adresami: uczelni, że nie pośredniczyła, studentów, że się sami nie interesowali, zakładów pracy wreszcie, że nie starały się poznać swych przyszłych pracowników. Nie usprawiedliwiający najmniej uczelni i stypendystów, największą winę przypisać należy chyba fundatorom. Uczelnia ma inne kłopoty „produkcyjne” i kadrowe, student najczęściej nie ma po prostu pieniędzy na wyjazd, związane z nawiązaniem kontaktów. A zakład pracy-fundator, a także gospodarz danego terenu czyli powiatowa rada narodowa powinna chyba uważać za jeden ze swych najżywniejszych interesów troskę o właściwy dobór kadr pracowniczych, zgodny z potrzebami, zgodny z planem rozwoju regionu.

Konkretnie propozycje

Organizator ankiety i pięciu środowiskowych spotkań ze stypendystami — Wydział Zatrudnienia Prezydium WRN pragnął więc zebrać jak najwięcej krytycznych uwag, które pomogłyby przełamać dotychczasową bierność i stagnację w systemie stypendiów fundowanych. Przy przewadze części (frekwencja na spotkaniach nie zawsze była zadowalająca) patrzącej na swe studia rzeczowo i uczciwie młodzieży udało się „wylapać” najpoważniejsze jego błędy, które — mamy nadzieję — nie powtórzą się już przy zawieraniu umów na rok akademicki 1962/1963. Czasu na zrewidowanie swoich metod postępowania nie ma zbyt dużo. Termin nadsyłania zgłoszeń stypendiów od zakładów pra-

cy do uczelni upływa z dniem 15 kwietnia i oby w tym roku po raz pierwszy był on naprawdę terminem ostatecznym dla wszystkich. Przekraczanie go, to pierwszy błąd w postępowaniu fundatora, który od bija się długim czekaniem na zawarcie umowy i na otrzymaniu stypendium, będącym często jedynym źródłem utrzymania.

Idąc zgodnie z urzędowym biegiem stypendialnej sprawy — proponujemy, by umowa zawierana była nie w uczelni, gdzie podpisuje się ją najczęściej in blanco, lecz na miejscu, u fundatora, gdzie można będzie przyrzec sobie nawzajem. Student powinien oczywiście dostać wezwanie, delegację itd.; żeby zaś nie błąkał się wśród nie znających sprawy, warto by chyba w każdej instytucji fundującej powierzyć jednemu z pracowników opiekę nad stypendystami, którzy stali się pośrednikami pomiędzy zakładem pracy a uczelnią. Ich rola nie kończyłaby się oczywiście z chwilą zawarcia umowy. Opiekun mógłby na pewno ułatwić stałe utrzymywanie wzajemnego kontaktu, choćby tylko poprzez organizowane, przy pomocy miejscowych rad narodowych, spotkania ze stypendystami swojego terenu. Gdyby takie spotkanie odbyło się choćby jedno — już każdy stypendysta wiedziałby, że w przypadkach losowych może liczyć na zapomogę od fundatora, dowiedziałby się, czy po uzyskaniu dyplomu otrzyma mieszkanie. Poznałby także charakter swej przyszłej pracy. Dowiedziałby się również o tym, iż stypendia fundowane zawsze i we wszystkich wypadkach wyższe są od państwowych o 20%.

Nie tylko „okólnikiem”

Wszystkie te wnioski, wyciągnięte z oceny obowiązującej do tej pory procedury stypendialnej, Prezydium WRN przekazuje w najbliższym czasie wszystkim powiatowym radom narodowym.

Dalszy bieg wypadków zależy już wyłącznie od stopnia zaangażowania się w tę sprawę tak zwanych czynników miejscowych. Mamy nadzieję, że zrozumieją one, iż największą instrukcją Prezydium WRN nie jest tylko którymś tam z kolei „okólnikiem”, lecz istotną wskazówką w pracy nad podnoszeniem poziomu życia własnego regionu.

Wczesne popołudnie. Wiejską uliczkę wziął we władanie dostojny spokój. Ani jednej żywej duszy. Jakby wszyscy mieszkańcy uciegli sobie poobiednią drzemkę. Prawdziwa godzina ciszy. Nastrojów, wznagała jeszcze biel świeżego śniegu, który przykrył okoliczne drzewa, pola, domy.

Na końcu wsi niewielki, lecz charakterystyczny budynek. Bez pytania, można się zorientować, że to szkoła. Również tutaj pustka i cisza. Po skończonych zajęciach dzieci porochożdziły się już do domów. Pozostały po nich jedynie ślady, wydeptane w śniegu. Frontowe drzwi były jeszcze otwarte.

— Kto tam? — w kobiecym głosie zabrzmiała nuta niepokoju.

Znalazłem się w trochę kłopotliwej sytuacji. Jak się przedstawić? Wreszcie zdecydowałem się na powszechnie używane w tych okolicznościach określenie: „swój”. Po chwili drzwi pokoju uchyliła starsza pani.

— Kierownikiem szkoły jest mój mąż, ale obecnie nie ma go w Łoniewie. Wyjechał do sanatorium. Proszę, niech pan wejdzie do pokoju. Jestem tu od niedawna. Jeśli zechce pan poczekać, to skoczę po Pawłowskiego i sołtysa Kurzawskiego. Mieszkają niedaleko stąd, na pewno są w domu.

Skrzyżowanie



Antoni Rzyński

Prawda w oczy kole. I to jak bardzo. Wystarczy wygarnąć prawdę — skrytykować, by popaść w niełaskę. Kolegi Kowalskiego, naczelnika Frąckowiaka, kierownika Nowaka — kogokolwiek — pod czym adresem skierowane były jak najbardziej słuszne zarzuty.

Jeszcze wczoraj dziennikarz rozmawiał z kierownikiem poważnej instytucji niemal jak z przyjacielem. Następnego dnia miał już nie przyjaciela lecz wroga, bo na temat instytucji ukazał się artykuł wytykający niewłaściwe postępowanie niektórych jej pracowników.

Dziennikarz może jednak mówić o szczęściu. Zarzucono mu bowiem tylko nieznaną pracę skrytykowanych. A przecież można było inaczej zareagować. Np. zabronić wstępu do owej instytucji. Albo prowadzić coś w rodzaju dochodzeń w celu wyszukania faktów, które mogłyby kompromitować autora. Albo... eh, po cóż wymieniam i tak nie potrafię wyliczyć wszystkich mniej lub bardziej wyrafinowanych metod dławienia krytyki. Sposobów jest mnóstwo — od przylepienia etykietek („malkontent”, „rozrabiacz”) do wydania wilczego biletu. Wszystko zależy od inwencji skrytykowanego i funkcji jaką pełni.

Współczesny psycholog amerykański Dale Carnegie stwierdza: „krytyka jest bardzo niebezpieczna, rani bowiem miłość własną

Michał Łuczak

KRYTYKA

człowieka i rodzi chęć odwetu. Winny oskarża cały świat dążąc do wybielenia własnej osoby.”

Teza amerykańskiego psychologa nie wyjaśnia wszystkiego, jest właściwie tylko stwierdzeniem faktu. Na pewno krytyka rani ludzkie ambicje i rodzi chęć rewanżu. Czy jednak tylko ten wzgląd decyduje o niewłaściwej reakcji skrytykowanego? Chyba nie.

Dławienie w taki czy inny sposób krytyki to wynik także zastraszającego braku samokrytycyzmu. Kryje się jakaś prawda w ludowym porzekadzie, które głosi, że nie jest głupi ten, kto zdaje sobie sprawę ze swej głupoty.

Odwaga cywilna. Z tym także kłopot. Dlatego właśnie rzadko spotykamy się ze szczerym, obiektywnym przyznaniem się do błędów.

Te cechy połączone z lekimi o karierę i ciasnotą horyzontów myślowych kształtują idealny typ dławiciela krytyki. Człowieka, który nie potrafi spojrzeć dalej niż na koniec własnego nosa, który ma na względzie tylko swoje „ja”. Dla takiego nieważne kto, dlaczego i czy słusznie skrytykował, ważne, że skrytykował jego, instytucję, w której on pracuje, którą on kieruje. Nieważne, że zlikwidowanie wytkniętych błędów pozwoliłoby usprawnić

pracę tej instytucji, o której honor on tak bardzo „dba”. Ważne, że likwidacja byłaby przyznaniem słuszności krytykowi. A do tego nie można dopuścić.

W naszym ustroju krytyka nie zmierza do niszczenia, do kalcenia ludzkiej osobowości, lecz do wytknięcia i usunięcia błędów w postępowaniu człowieka. Błędów, które znajdują odbicie w życiu ekonomiczno-społecznym. Krytyk występuje więc w imieniu całego społeczeństwa, jak najbardziej zainteresowanego w zlikwidowaniu tych błędów.

Ludzie, którzy nie realizują w praktyce tych oczywistych zasad nie powinni mieć niczego do szukania na kierowniczych, odpowiedzialnych stanowiskach. Ich obecność tamże stanowi bowiem hamulec postępu, sprzyja powstawaniu warunków nie mających nic wspólnego z ustrojem socjalistycznym. Nie można zresztą zapominać, że w miarę dalszych przemian społeczno-ekonomicznych musi wzrastać rola krytyki. Sięgnijmy znów do programu KPZR:

„W walce z przeżytkami przeszłości, z przejawami indywidualizmu i egoizmu wielką rolę przypada społeczeństwu, wpływowi opinii publicznej, rozwojowi krytyki i samokrytyki. Koleżeńskie potępienie czy nowo społecznych stanie się stopniowo głównym środkiem wykorzystania przejawów, poglądów, obyczajów i zwyczajów burżuazyjnych”.

Niedocenianie krytyki na pewno można uznać za przeżytek przeszłości. Wspomniany już psycholog

Dokończenie na str. 2

Po dziesięciu minutach, obaj gospodarze weszli do mieszkania. Razem z gospodynią usiedli przy czworokątnym stole. Równocześnie znalazł się na nim skoroszyt z aktami wsi i kronika szkoły. Nie bez powodu położono je obok siebie. Zarówno w teczce jak i w grubym zeszytce, spełniającym rolę kroniki, można znaleźć wiele informacji o społecznej postawie mieszkańców Łoniewa, wsi wyróżniającej się w Leszczyńskim. Stwierdzenie wykaligrafowane słowami nie tylko o dziejach łoniewskiej szkoły. Opisane jest w kroni-

Mirosław Idziorek

Testament Łosiaka

ce życie całej wsi, poczynając od pierwszego roku po wyzwoleniu.

Na jednej ze stron, pod datą „czerwiec 1959 r.” nauczyciel - kronikarz pisał:

„Zgodnie z uchwałą zebrania wiejskiego, przystąpiliśmy do realizacji czynu społecznego. Cementu do produkcji rur dostarczyło Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. Pracę przy zasypaniu rur wykonali miejscowi rolnicy...”

Pawłowski wpadł w zadumę. Wydawało się, że szuka czegoś w myślach, coś wspomina. Widząc nasze wyczekujące spojrzenia zaczął mówić:

— Ten fragment, który pan przed chwilą czytał zapisał w kronice Bronisław Łosiak. Przez wiele lat był on kierownikiem naszej małej,

jednoklasowej szkoły. Dobry nauczyciel i niezmordowany działacz społeczny. Gdyby nie on, kto wie czy byśmy tu coś zrobili. Dusza wsi. Gdzie tylko mógł — na zebraniach, w szkole, w domach — namawiał do roboty, tłumaczył ludziom, że przecież nie muszą żyć w brudzie, chodzić drogą po kolana w błocie. Że nasze mieszkania wcale nie muszą się różnić od miejskich. Niech pan popatrzy przez okno, tam jest główna ulica naszej wsi. Kiedyś ciągnął się wzdłuż niej szeroki rów, w którym znajdowały się same nieczystości. Smród roz-

doprowadził do porządku i należytej czystości nasze drogi i obejścia. Postaramy się, by nasza wieś była naprawdę czysta i piękna. W lutym, na głównej uliczce założyliśmy krawężniki, wydzieliliśmy specjalny pas po trawniki. Na podwórach nie walają się rupiecie i śmieci. W tym roku chcemy też ustawić na drodze ławki i kosze na odpady...”

Sołtys wymienił jeszcze kilka, na pozór drobnych lecz jakże potrzebnych przedsięwzięć.

Łoniewo ma szczęście do ofiarnych nauczycieli. Nowy kierownik szkoły wraz z żoną (także nauczycielką) postanowili uparcie realizować plany nakreślone przez Łosiaka. Tyle, że ludzie nie muszą już namawiać do społecznej roboty. Chwilowo p. Zygmunt Plewka, przebywając w sanatorium, ale bynajmniej nie tracąc kontaktu z Łoniewem. W listach do żony zamiast o swoim zdrowiu, pisze o tym, że już czas pomyśleć o wiosennych porządkach we wsi, że trzeba posadzić dalsze drzewka wzdłuż drogi itp.

Za oknem poszarzało. Nadchodził wieczór. Nie wypadało już dłużej zabierać czasu gospodarzom i pani domu. Zegnając się spojrzeliśmy na stół, gdzie leżała rozwarła kronika szkoły. Oby jak najprędzej znalazła się w niej adnotacja: „W naszej wsi mamy obecnie wodociąg, nowy budynek szkolny, kanalizację, łaźnię. Wszystko wykonał mieszkańcy wsi”.

Zbiłut Sęk

Urzędnicze zaklęcia

„Zgodnie z Zarządzeniem nr 8 MHW z dnia 29. I. 58 zmienionym Zarządzeniem nr 124 MHW z dnia 30. 6. 59 w sprawie zasad wynagradzania pracowników zakładów przemysłu gastronomicznego działających w resorcie Min. Handlu Wewn. (zbiór podstawowych przepisów z zakresu zatr. i płac w Przemysle Gastr. wg. stanu na dzień 30. 9. 1959) przyznaje się Obywatelowi/ce od 1 marca 1962 r. stawkę wyjściową w wysokości...”

Urzędowy list nafaszerowany liczbami zarządzeń, ustaw i okólników, datami ich ważności i... unieważnienia, cytowanymi wyjątkami. — Znacze ten język, tę regułę wyklepaną na zawołanie przez zrytualizowanego urzędnika? Niepotrzebne pytanie. Każdy z nas jest przecież tak zwanym petentem.

Nie sile się na zmianę urzędowych formulek, ani z urzędników nie chce uczynić poetów. Nie się tu nie da zrobić, jako że dawno już starożytny monarcha zaczął kierować swym państwem przy pomocy gońców i glinianych tabliczek. Od tego czasu świat wzbogacił doświadczenia starożytnych i konsekwentnie brnie dalej, wydłużając listę przytaczanych przepisów. Pogodził się z tym. Już mój pradziadek mawiał „porzundek zaś ale musi być”. Więc nie buntuję się przeciw mym protoplastom, ani przepisom.

Można by przekonywać, ileż to mniej papieru zużyjemy w Polsce dzięki zwiezłemu formułowaniu oficjalnych pismek. Ja jednak nie o tym. Jest bowiem inna jeszcze strona opieczętowanego pismka — informacja, jego komunikatywność.

Informacja. Pojecie to robi w świecie oszałamiającą karierę. W nauce jest punktem wyjścia do teoretycznych dociekań, badań laboratoryjnych; w technice — informacja zamieniona w impuls elektryczny kieruje pracą automatów i mózgów elektronowych. Nie robi ona kariery tylko w urzędach. Tutaj panuje wręcz dezinformacja, strasznie kłopotliwa i niebezpieczna dla maluczkich petentów.

Informacja w biurze, to „oczywiście” nie tylko wywieszka o godzinach przyjęć. To przede wszystkim prawidłowa interpretacja przepisów, prawidłowa reakcja na sprawy petentów. Dla usprawnienia tak pojmowanej informacji w biurach, stworzono nowy impuls w postaci

KPA. Cóż, kiedy ów bodziec nie oddziałuje często na przestarzały system urzędniczy.

Jeden przykład: oto przedsiębiorstwo handlowe pisze do swego pracownika podaną na wstępie korespondencję. Wypowiada mu warunki płacy. A co czyta odbiorca? Kulawo brnie okiem przez wersety urzędniczego koranu, którego treść jest słodką tajemnicą biegłych w tym piśmie. Z numerów i dat bije groza magicznych liczb. Odbiorca nie wie nawet, że mu wypowiedziano warunki płacy, o tym pismo nie informuje. On domyśla się tylko, porównując nową stawkę z dotychczasowymi zarobkami.

Jeśli jest pokornego serca — uwieży lub ulegnie magii biurowego zaklęcia. Jeśli jest niedowiakiem — chwyci diabła za rogi studiując pilnie motywy zwolnienia, zakodowane w liczbach przytoczonych w piśmie Zarządzeń. I dobrze zrobi. Okazuje się bowiem, że zaklęcie w rodzaju: „zgodnie z Zarządzeniem nr 8 (...) zmienionym Zarządzeniem nr 124” nie miało on mocy prawnej. Ze nikt nie może zmienić warunków pracy bez uprzedniego ich wypowiedzenia.

A jednak... Uczyniło to przedsiębiorstwo, Poznańskie Zakłady Gastronomiczne - Kawiarnie*. Cóż z tego że tutaj coś nie „kłada”, bo niezgodne z przepisami o prawie pracy? Zaklinacze mężów — petentów nie oblatanych w urzędowej mowie i piśmie — dopieł swego, otumanili liczbowym szyfrem poszkodowanych, radę zakładową, resztę załogi, wszystkich przyjmujących bezkrytycznie to, co im autorzy pisma do wierzenia podają. Zmienili płace — więc pewnie mieli rację.

Stąd już krok do szerszych nadużyć, naginanie przepisów, krzywdzenie człowieka.

Urządowa dezinformacja nie zawsze przybiera tak szkodliwą formę. Zawsze jednak działa przeciw interesom adresatów, a nawet nadawców — urzędów. Bo w przypadku takiego pisma petent wraca jak bumerang do prezydium rad, dyrekcji przedsiębiorstw, zalewając biura rzeką odwołań, protestów, prośb o wyjaśnienie. Urząd i petent przedzierają się potem wspólnie przez dżunglę urzędowej bibliografii, by w końcu dotrzeć do prostego sedna.

Gdyby chodziło tylko o pismo...

* Pismo TK/89/62 z dnia 17 lutego br. zmienia płace kilkudziesięciu pracowników bez wypowiedzenia, od 1 marca br.

W poprzednim artykule („Głos Tygodnia” nr 20) omawialiśmy strukturę dnia ucznia Technikum Handlowego w Poznaniu; wiemy, że młodzież ma sporo wolnego czasu do swej wyłącznej dyspozycji. Dzisiaj opierając się na tej samej ankiecie postaramy się odpowiedzieć na pytanie: Jak młodzież wykorzystuje czas wolny od zajęć? Oto wyniki badań ankietowych:

Sposoby wykorzystania wolnego czasu	dni powszednie proc. wypowiedzi	niedziele proc. wypowiedzi
Czytelnictwo (książek, periodyków i codziennej prasy)	22,87	9,97
Praca w organizacjach młodzieżowych i zespołach zajęć pozalekcyjnych	8,85	—
Spacer	13,32	20,03
Turystyka (wycieczki, loty, rajdy)	4,52	10,04
Słuchanie audycji radiowych	33,28	6,10
Telewizja	7,50	15,54
Kino	6,08	26,94
Teatr i opera	2,24	4,68
Imprezy sportowe	1,36	6,74

W tabeli tej nietrudno dostrzec, że formy wykorzystania przez młodzież wolnego czasu wykazują różnicowanie w zależności od tego, czy chodzi o dni powszednie, czy o niedziele.

Powszechną formą są rozrywki. Na pierwszy plan wysuwa się słuchanie radia.

Rodzaje oraz kolejność (ustalona według liczby otrzymanych głosów w ankiecie) najchętniej i najczęściej słuchanych audycji przedstawia się następująco: koncerty rozrywkowe, muzyka taneczna, słuchowiska, audycje młodzieżowe i sportowe, dzienniki i lekcje języków obcych.

W grupie form rozrywkowych oprócz słuchania radia wiele miejsca w budżecie wolnego czasu wypełnia kino. Częstotliwość korzystania z kina przedstawia się różnie w dni powszednie i niedziele. Przekonują o tym najlepiej wskaźniki uczęszczania do kina.

W dni powszednie do kina uczęszcza 27,6 proc. badanych, z czego raz w tygodniu 13,4 proc., raz w miesiącu 41,7 proc., rzadziej niż 1 raz w miesiącu — 44,9 proc. W niedziele do kina uczęszcza 72,4 proc. badanych z czego 20,0 proc. odwiedza kino raz w tygodniu, 53,7 proc. raz w miesiącu, rzadziej — 26,3 proc.

Podobnie przedstawia się sprawa z uczęszczaniem do teatru i opery.

Okazuje się, że 33,44 proc. badanych chodzi do teatru i opery w dni powszednie, z tego raz w miesiącu 7,6 proc., raz na kwartał 43,1 proc., rzadziej 49,3 proc. 66,61 proc. wybrało niedzielę jako dzień na „odwiedzanie” teatru i opery, z czego 19,8 proc. chodzi tam 1 raz w miesiącu, 38,6 proc. raz w kwartale, rzadziej — 41,6 proc. Zdecydowana większość chodzących do teatru i opery rzadziej niż raz na kwartał bywa tam tylko wtedy, gdy organizatorem jest szkoła.

Stosunkowo dużo miejsca w budżecie czasu (w dni powszednie — 7,5 proc., w niedziele — 15,54 proc.) zajmują audycje telewizyjne. Największą popularnością z audycji telewizyjnych cieszą się filmy fabularne i „Kobra”.

Kazimierz Denek

W jaki sposób młodzież wykorzystuje wolny czas

bardziej wszechstronny wynika w dużej mierze z nieznanością przez młodzież metod organizowania życia codziennego, co dowodzi, że pożądanym form spożytkowania wolnego czasu trzeba młodzież uczyć. Najbardziej powołaną do spełnienia tej ważnej, a zarazem niełatwej funkcji jest szkoła, zwłaszcza, że przewiduje się w niedalekiej przyszłości rozbudowę różnych form zajęć pozalekcyjnych dostosowanych do zainteresowań młodzieży i dynamiki jej upodobań.

Jednak rozwój zajęć pozalekcyjnych i placówek wychowania pozaszkolnego nie może oznaczać zwalniania rodziców i organizacji młodzieżowych od troski o prawidłowe i pełnowartościowe wykorzystanie przez młodzież wolnego czasu.

Jak już podkreślono — trzeba uczyć młodzież właściwego dysponowania czasem. Zrozumiałe, że młodszy rozpocznie się tę naukę, tym wyniki będą lepsze. Z drugiej strony pracę tę należy rozpocząć jak najszybciej, ponieważ dotychczasowa praktyka szkolna wykazuje pod tym względem niemałe zaniedbania.

W pozycji tej ujęte zostały czasopisma, które wykazały najmniejszą poczytność. Wśród nich znalazły się: Karuzela, Panorama Śląska, Zwierni, Światowid, Świat, Radar, Ty i Ja, Magazyn Polski, Kraj Rad, Sportowiec, Szpilki i Widnokręgi.

W pozycji tej zostały zgrupowane tytuły dzienników, które uzyskały od 8 do 1 głosów w ankiecie „Jakie czytasz gazety?”. Znalazły się tu: Sztandar Młodych, Trybuna Ludu, Kurier Polski, Życie Warszawy, Głos Pracy.

Bardzo rozpowszechnione wśród badanych jest czytelnictwo periodyków (97 proc.) podczas gdy prasę codzienną czyta zaledwie 41,3 proc. objętych ankietą. Poczytność poszczególnych czasopism i dzienników przedstawiają poniższe tabele:

Tytuły czasopism	proc. wypowiedzi
Filipinka	21,42
Przekrój	14,00
Przegląd	9,08
Dziennik	8,52
Poznań swój kraj	7,48
Nova Wieś	5,84
Film	5,80
Ekran	4,54
Panorama Północy	4,50
Kobieta i Życie	4,07
Na przełaj	3,08
Świat Młodych	2,72
Mówią wieki	2,65
Inne ¹⁾	6,30

Tytuł dziennika	proc. wypowiedzi
Głos Wielkopolski	36,28
Express Poznański	35,71
Gazeta Poznańska	21,90
Express Wieczorny	2,86
Inne ²⁾	2,33

Najchętniej czytane są książki o tematyce: humorystycznej, podróżniczo-przygodowej, kryminalno-sensacyjnej, historycznej, erotycznej i popularno-naukowej.

Wśród innych form spędzania wolnego czasu szczególnie cieszy się stosunkowo wysoki wskaźnik udziału młodzieży w organizacjach i zespołach zajęć pozalekcyjnych. Na uwagę też zasługuje niewątpliwie pozytywny fakt, że badana młodzież od 20 do 30 proc. wolnego czasu spędza na powietrzu.

Przedstawione powyżej formy spędzania wolnego czasu przez młodzież należą do najbardziej typowych. Cechą charakterystyczną omówionych form jest stosunkowo wąski ich zakres. Mieści się on w granicach nielicznych, łatwych rozrywek przyciągających swą atrakcyjnością i krótkotrwałością przeżyć.

Stwierdzona nieumiejętność korzystania z wolnego czasu w sposób

KRYTYKA

Dokończenie ze str. 1

amerykański — Carnegie formułując zasady ułatwiające życie m. in. stwierdza, że nie należy krytykować. „Wszystko wiedzieć i wszystko przebaczać” — oto jego dewiza. Nie przeczę, że bardzo wygodna. Stąd też wielu jej zwolenników. Także i u nas. Wyobraźmy sobie jednak, że wszyscy — jak jeden mąż — zaczęlibyśmy stosować tę zasadę. Co by się wówczas działo? Komu brak wyobraźni niech przypomni sobie głośne afery. Choćby w „Warsie”, gdzie krytyka stanowiła tabu. W rezultacie mnożyły się najrozmaitsze kanty.

Tak więc, kto posiada cywilną odwagę i jest zainteresowany w zlikwidowaniu anomalii utrudniających nasze życie nie powinien być wyznawcą wygodnej, ale oportunistycznej zasady Carnegie’a. Prawda, że krytyka — ogólnie rzecz biorąc — stanowi jeszcze ryzyko: nie brak przykładów optymistycznych. Oto tylko jeden z nich:

Nasi Czytelnicy pamiętają zapewne z naszych przeglądów prasy sprawę Henryka Neumana, którego bezpodstawnie zwolniono ze stanowiska głównego księgowego Zakładów Mięśnych w Kaliszu. Ten fakt poruszony na łamach „Polityki” spowodował odpowiedź Sekretariatu KW PZPR w Poznaniu stwierdzającą anulowanie niesłusznej decyzji i naprawienie szkód. W wyjaśnieniu KW m. in. czytamy:

„Tak więc przy pomocy „Polityki”, „teoria nie rozminęła się z praktyką”, krzywdą wyrządzoną człowiekowi została chociaż z opóźnieniem naprawiona, a publiczne postawienie sprawy ma wychowawczy charakter i pomoże zrozumieć tego typu problemy wszystkim zainteresowanym”.

W komentarzu redakcyjnym „Polityki” znalazł się taki zwrot: „Obyśmy mogli mieć zawsze do czynienia z tak mądrym i głębokim umowianiem spraw ludzkich”. Dodajmy: oby zawsze słuszne krytyczne wystąpienia odnosiły taki pozytywny skutek. Oby! Już przecież Krasicki powiedział: „Prawdziwa cnota krytyki się nie boi...”

MICHAŁ ŁUCZAK

Bogusław Kogut

Ludzie bez twarzy

Nigdy nie odpowiadam na anonimowy, tym bardziej, że nawet na korespondencję „otwartą” nie zawsze starczy czasu. Anonimowy zaś bywa różny, przeważnie na tyle plugawy, że budzą odruch odrazy. Ale ten właśnie anonim bardziej mnie zasmucił niż oburzył. Przytoczę zeń kilka zdań. Oto one: „Jak wynika z artykułu w GŁOSIE z dnia 28/29 stycznia br. razi Pana sentyment Francuzów północy. Rani pan też nad tyranią de Gaulle’a, a czy pan sobie przypomina niejakiego Józefa Stalina tego anioła pokoju. A fe, panie literat”. Są tam jeszcze wątpliwości co do tego, czy aby jestem Polakiem, no i pointa stwierdzająca, że u nas ludzie doskonale orientują się gdzie jest prawda.

Pointa jest rzeczywiście trafna, bowiem na ogół opinia publiczna w Polsce jest dobrze poinformowana i wie, gdzie jest prawda. Ale zastanawia mnie co innego. Otóż, żeby przypomnieć taką czy inną prawdę o Stalinie, obecnie, po XX i szczególnie po XXII Zjeździe KPZR — do prawdy nie trzeba ani wielkiej odkrywczości, ani tym bardziej odwagi. Prawda ta została odkryta nie przez anonimowych odkrywców, lecz przez samą KPZR i nic z tej prawdy nie zostało przemilczane ani zatajone. Skąd więc to incognito mego korespondenta? Chyba stąd, że

wszyscy bez wyjątku „pisarze” anonimów charakteryzują się tym, iż mówiąc nawet o sprawach oczywistych, wiadomych i znanych — nie ujawniają się. Jakaś atawistyczna niechęć do pokazywania swej twarzy przechodzi u nich w nałóg, w życiową konieczność, boją się dziennego światła, boją się echa własnego głosu. Są to w gruncie rzeczy ludzie tyleż śmieszni co nieszczęśliwi, będą niekiedy odrzą, ale prawie zawsze politowanie.

Mój felieton poświęcony „Francuzom północy”, czyli starym profrancuskim sentymentom zakorzenionym dość mocno w niektórych warstwach naszego społeczeństwa, sentymentom przesłaniającym niejednokrotnie realną rzeczywistość polityczną — mógł dotknąć w jakiś sposób niejednego z czytelników, dotknął i mego korespondenta. Trudno jednak faktom przeciwstawić jedynie sentymenty. Faktem i to

bolesnym jest np. proadnauerska polityka de Gaulle’a. I temu zaprzeczyc się nie da. Więc sentymenty pozostają bezsilne. Tylko że jednym starczy rozważyć by z faktów wyciągać jakieś wnioski, innym rozważyć nie starczy. To jest zresztą zrozumiałe i po-niekąd normalne. Anomalia zaczyna się dopiero tam, gdzie skompromitowanych racji pragnie się bronić za wszelką cenę, chociażby na własną tylko, pokatny użytek. Wtedy rodzą się żalosne anonimy. Anonimy wędrują do kosza — ich autorzy nie czekają nawet odpowiedzi. Diabelnie śmieszni i biedni zarazem ludzie, którym, niestety, niewiele można pomóc, jako że na bezrozumni upór żadnego skutecznego lekarstwa nie ma.

Możemy, oczywiście, rozmawiać, przekonywać się wzajemnie — publicystyka prasowa połączona z tradycyjną listów do redakcji jest jedną z form takiej społecznej dyskusji. W publicz-

ście politycznej przypominamy często brodnym faszyzm, przestrzegamy przed nowymi okropnościami. Mamy ku temu powody jak najbardziej istotne. Mówiąc o nich możemy — powtarzam — i powinniśmy liczyć się z cudzymi poglądami i nawet z cudzymi sentymentami. Ale jedynie do granic zakreślonych zdrowym rozsądkiem.

Skoro już jesteśmy przy zagłębieniu poczcie chciałbym jeszcze ustosunkować się do jednego listu, dotyczącego zresztą zupełnie innego tematu, mianowicie tekstów do piosenek, o czym pisałem w ostatnim felietonie. Czytelniczka GŁOSU solidaryzuje się z większością moich uwag co do wartości tekstów, pisze na koniec: „Nie zgadzę się tylko z jednym, że słuchacz niewyrobiony przyjmie te „rymy” za dobrą monetę. Akurat do tej kategorii się zaliczam — a mimo to uważam, że takie wypiewywane bzdury dyskwalifikują polską piosenkę i u przeciętnego słuchacza”.

Oby tak było. Ale myślę, że jest Pani, droga Czytelniczko, zbyt optymistycznie usposobiona co do gustów tzw. przeciętnego słuchacza. Moje obserwacje nie upoważniają mnie do takiego optymizmu.

P. S. Dziękuję serdecznie za wszystkie listy, zawsze mile widziane, — także wówczas kiedy są polemiczne.

Centralne Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało ostatnio w swoich pomieszczeniach na Starym Rynku wystawę prac Jana Berdyszaka, młodego malarza poznańskiego. Na wystawie znajdują się zarówno obrazy malarskie jak i grafiki. Artysta w obrazach wcześniejszych zachowuje postać ludzką czytelną, później reprezentuje kierunek, który obejmujemy wspólną nazwą abstrakcjonizmu. Ta „groźna” nazwa nie powinna zniechęcać nas do obejrzenia ciekawej wystawy. Zaakceptowanie tego malarstwa nie jest sprawą samo przez się zrozumiałą, wymaga bowiem pewnej znajomości rzeczy, znajomości rozwoju i tradycji malarstwa. Podobnie i w innych dziedzinach twórczości ludzkiej ocenić nowe zjawiska może najlepiej ten, kto zna dotychczasowy stan osiągnięć. Może jednak opinia ta, często przecież kolportowana, jest nieco przesadna.

Zaakceptowanie, możliwość czerpania zadowolenia z tego malarstwa uzależnione są może nie tyle wiedzą o malarstwie o jego tradycji i kierunkach — to niekiedy przeszkadza bardziej niż pomaga — ile

raczej uwarunkowane są rezygnacją z szeregu uprzedzeń i nawyków. Wymaga takiego spojrzenia na obraz jak patrzyć się na chmury układające się w ciekawe formy. Dostrzeżesz może tylko w tych obrazach dekoracyjną ładność, którą łatwo przyszło pochwalic w tkaniu dekoracyjnej, czy nowoczesnym wnętrzu, a która rodowi swój wy-

Wystawa J. Berdyszaka

wodzi z malarstwa sztalugowego. Jeżeli tylko tyle można zobaczyć w pierwszym spojrzeniu i jeżeli sprawa to jakieś zadowolenie to już dużo. W obrazach tych jednak dostrzec można także zamknięty w nich nastrój wyrażony zestawem kolorów, ich ogólna tonacja.

Nie każdego spośród widzów zadowolić może sztuka Jana Berdyszaka. Malarstwo abstrakcyjne jest pod względem zawartości i możliwości odczuć uboższe od malarstwa przedstawiającego przedmioty czy ludzi. Artysta malarz, dziś zastępowany pod pewnymi względami

przez aparat fotograficzny, skupia swoją uwagę głównie na pewnych elementach swej sztuki. Będą mu one potrzebne wtedy, kiedy będzie chciał stworzyć nowy wzór na tkaninę, ozdobić wnętrze kina czy znaleźć prosty i ładny kształt mebla.

Również niektórzy żywiej zainteresowani malarstwem wola oglądać obraz pozbawiony treści, które można opowiedzieć słowami, cieszyć się tylko kolorem, harmonią układu barw i płaszczyzn, podobnie jak inni wola słuchać opery przez radio nie narażając się na przykre, absorbujące rozczarowania, jakie spowodować może postać śpiewaka.

Dobry obraz, dobre malarstwo ma jedną wspólną cechę niezależnie od kierunków, jakie reprezentuje — za każdym razem, gdy je oglądamy ujawnia swoje nowe zalety, pokazuje swoją nrodę od coraz to innej strony. Dlatego zachowując zdolność do krytycyzmu, bez którego nigdzie nie powinno się obywać, warto się nie zniechęcać, patrzeć na obrazy i wracać do nich. Niekiedy znaleźć możemy w ten sposób nowy, nieznany przed tym rodzajem zadowolenia. Dlatego zobaczcie wystawę Jana Berdyszaka.

S. K.

Feliks Fornalczyk

„Piersi Tyrezjasza”?

Jerzy Korczak, kierownik artystyczny Teatru Satyry, doprowadził tym razem na scenie swojego teatru do spotkania Apollinaire’a, Ionesco i naszego Mrożka. Pisarze ci osobiście się nie pojawili — byłoby to nawet niemożliwe, jako że jeden z nich już dość dawno umarł. Spotkanie ma więc charakter ściśle literacki, właściwszy może nawet pisarzom, bo za pośrednictwem tekstów.

Zasada doboru tych właśnie tekstów, tych a nie innych autorów, nie została wyraźnie określona. Sam Jerzy Korczak we wstępie do programu uchylił się od odpowiedzi na tę kwestię. Stąd też każda z jednoaktówek współistnieje w przedstawieniu raczej na zasadzie kontrastu, niż jakichkolwiek podobieństw. Pomyślcie tylko, obok burleski — makabreska, a obok nich groteska.

Powiedzmy sobie od razu, że w ciągu jednego wieczora mamy okazję zobaczyć w Teatrze Satyry trzy różne sztuki trzech różnych autorów, i nie doszukujemy się jakiegokolwiek doboru tekstów i podporządkowania. Pójdmy więc zobaczyć trzech różnych autorów, trzy różne sztuki, i nie męczmy się rozszepianiem włosów na czworo. Jerzy Korczak też pewnie nie zadał sobie takiego trudu.

Dobór jednoaktówek odbył się podług wymogów wdzięcznej zabawy, zgodnie z zasadą: uczyć bawiąc. „Piersi Tyrezjasza” Apollinaire’a są w tym zestawieniu najbardziej anachroniczne, chociaż napisał je inicjator awangardowej poezji. Najdojrzałej prezentuje się „Lekcja” Ionesco. Najbardziej podtekstowym utworem jest „Karol” Mrożka. Lecz wszystkie trzy są majstersztykami swego rodzaju.

„Piersi Tyrezjasza” — w oryginale chodziło zresztą nie o piersi, lecz o cycki — są w tym spektaklu najmniej zgodne z typem artystycznego widzenia dwu pozostałych autorów. Dziwi się też trochę, dlaczego tytuł tego właśnie utworu posłużył autorowi adaptacji za tytuł całego spektaklu? Że efektywny? Prawda, ale nie poza tym nie łączy go z całym przedstawieniem. Tylko zwodzi.

Człowiek idzie z nadzieją, że zobaczy Bóg wi co, a tu prawie nic z tych rzeczy. Młoda kobieta opuszcza męża, emancypuje się, nie chce rodzić dzieci, ani słyszeć o uleganiu męskiemu zachciankom. Ow opuszczony mąż, który właśnie te rzeczy ma tylko na myśli, zaczyna sam sobie rodzić dzieci. Ma swoją unowocześnioną metodę, dzieciaków tych rychło uzbierała się cała kolekcja.

Oprócz tych dwojga jest tu jeszcze młoda dziewczyna, której wypadło grać zbyt wiele niesceniczných rzeczy. Jest lubieżny a łepy żandarm, uosobienie bodaj wszystkich najgorszych „cnót” tego stanowiska. Przekształca się ten to policjant następnie w dziennikarza — i tak z wszystkimi „cnotami” tej profesji — a w końcu staje się jednym z niemowląt.

Reżyser Barbara Bormann nadała tekstowi żywe tempo, wprawiła w ruch karuzelę odpustowych malowideł ludzkich Apollinaire’a. Scenograf Hilary Krzysztofak ubrał aktorów w burleskowe kostiumy i stworzył odpowiednie do kolorystyczne, rodem z malarstwa francuskiego, pozostające pod urokiem egzotyki, a częścią malarstwa secesyjnego. Aktorzy starali się wedle swych sił, ale na wyżyny się nie wzniesli.

Maniakalne objawy ludzkiej głupoty ukazał w swojej „Lekcji” Ionesco. Znakomity tekst znalazł świetnych odzwierciedleń w osobach Marianna Pogorza-

Krystyny Szafrankiej i Krystyny Niemczyk. Hilary Krzysztofak wyszukał dla tego utworu wyjątkowo trafną tonację oprawy scenograficznej, Barbara Bormann całość „Lekcji” wypracowała z resz-

tem w najdrobniejszych szczegółach. Po „Lekcji” Ionesco „Karol” Mrożka musiał już wypaść blade. Tu także mamy do czynienia z objawem wyjątkowo niebezpiecznej złośliwości, ale żeby zmoc wrażenie, pozostawione przez Profesora z „Lekcji” Ionesco, „Karol” musiałby wnieść na scenę grozę samego chyba Atyli. Dziadek tymczasem jest infantylną kopią Profesora, tyle że unowocześnioną i opieczelowaną naszymi narodowymi kompleksami.

Po zwartej, nabitej kwestiami „Lekcji” — „Karol” jakby tracił oddech, potykał się o luki. Sens „Karola” jest na pewno szerszy niż „Lekcji”, ale też i trudności pisarskie — a i aktorskie — były tu większe. Ionesco zbudował swój utwór na koncentracji, Mrozek przeciwnie — na dekoncentracji, aluzyjności. Tam mieliśmy do czynienia z upożytkowaną makabreską, tu z dobroliwą groteską. Tam była psychologia i nastrój, tu — refleksja i symbol.

Zdaje się, że nie podobał tym wymaganiom utworu Mrożka scenograf, który zaproponował dekorację naturalistyczną, w układzie bardzo podobną do dekoracji „Lekcji”. Odpowiedniejsze byłoby tu zapewne coś bardziej umownego, bardziej odpowiadającego stylowi Mrożka. Na serio też traktowali swoje role aktorzy, a wydaje się, iż lepszy efekt dałaby w tym wypadku jakaś naiwna szczerść.

Teatr Satyry podjął ryzykowną próbę zestawienia w jednym spektaklu autorów i utworów tak przeciwieśnych sobie różnych. Sądzę, że sprawił tym sporo kłopotu reżyserowi i wykonawcom. Ogromną pracą zdołali oni doprowadzić do tego, że Teatr wyszedł z tej próby obronną ręką. Ale przecież mimo to nie mógł uniknąć całkowitego dania powodów do sporu. Stąd moje uwagi. I stąd sugestie, aby w którymś z następnych programów...

Napisalem to i zastanowiłem się. Kiedy by to było? W każdym razie nie zawodziłoby, gdyby Jerzy Korczak w którymś z następnych programów swojego Teatru Satyry dał większy wybór czy to jednoaktówek Sławomira Mrożka, czy też porwał się na pełniejszą pokazanie Eugène Ionesco. Zdaje się, że ich w Poznaniu nie wystawiono. Przynajmniej w teatrach zawodowych.

Czesław Michniak

Konkurencja — rzecz dobra

Ostatni rok przyniósł teatrom poznańskim sukces nie tylko artystyczny ale i kasowy. Teatr Polski łącznie z Teatrem Nowym zmniejszył „planowaną stratę” o kilkadziesiąt tysięcy złotych, co się nieczęsto zdarza, nawet w skali ogólnopolskiej. Zanotowaliśmy szereg ciekawych przedstawień: „Sw. Joanna” — Shawa, „Potęga ciemnoty” — Tołstoja, „Romeo i Julia” — Szekspira, „Kordian” — Słowackiego, „Dwoje na huśtawce” — Gibsona i ostatnio „Pierwsza konna” — Wiszniewskiego. Zwłaszcza Szekspir i Shaw przypadli do gustu najszerszej widowni i — co ciekawe — po wygraniu „Romeo i Julii” na scenie Teatru Polskiego doskonali skądinąd film „Romeo i Julia” cieszył się stosunkowo niewielkim powodzeniem; gdyby do tego wszystkiego dodać jeszcze zainteresowanie naszym teatrem na występach gościnnych w Brnie i jego okolicy, trzeba by zbilansować działalność Teatru Polskiego w 1961 roku dodatnio i obiecująco.

Spoczęcie na laurach byłoby jednak i przedwczesne i niepotrzebne, tym bardziej że teatry dramatyczne w Poznaniu mają wiele jeszcze do zrobienia w kierunku dotarcia do najszerszych kręgów potencjalnych odbiorców dóbr kulturalnych. Ubiegłoroczna narada w sprawie organizacji widowni, zwołana przez Wydział Kultury Prezydium Rady Narodowej m. Poznania, i dyskusja w Zakładach Cegielskiego wykazały, że widownia nie tylko już nie zadowala się komunikatywnością sztuki, jej walorami widowiskowymi czy wreszcie atrakcyjnością treści, tematu, że coraz więcej widzów żąda od dyrekcji Teatru Polskiego ambitnego repertuaru i ambitnej jego realizacji. O staraniach w tym zakresie uwieńczonych powodzeniem, a ostatnio towarzyszącymi pracy dyr. Perza pisałem wyżej, teraz chciałbym się zastanowić, jakby

tym słusznym ambicjom nadać jeszcze wyższą rangę, wyjść im na przeciw.

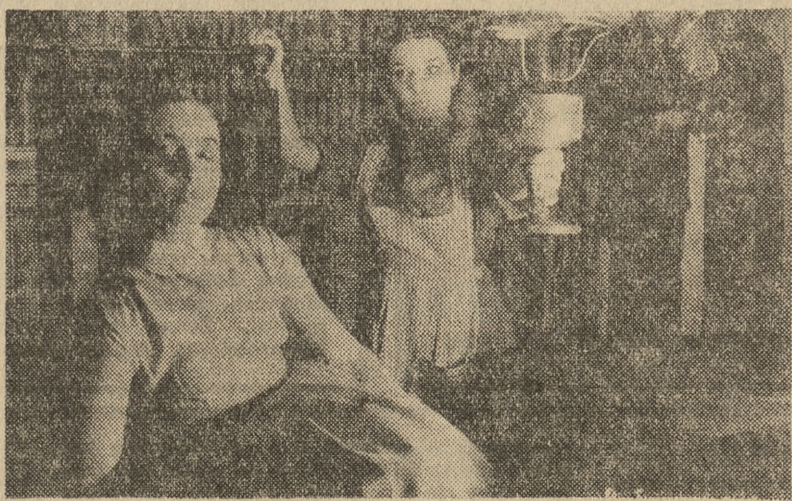
Otóż zdaniem moim, w Poznaniu trzeba stworzyć taką sytuację, w której konkurować, współzawodniczyć będą ze sobą dwa suwerenne, że się tak wyrażę, teatry dramatyczne, a uczynić to można w drodze oddzielenia Teatru Polskiego od Teatru Nowego. Ten ostatni byłby teatrem w pełni samodzielnym z własną dyrekcją, kierownictwem artystycznym, zespołem aktorskim itd. W innych większych miastach naszego kraju mamy właśnie tego rodzaju sytuację. W Krakowie istnieje zasadniczo trzy organizmy teatralne: Teatr Słowackiego, Teatr Stary i Ludowy w Nowej Hucie. Każdy z nich posiada swój własny repertuar, koncepcję artystyczną. Podobnie jest w Łodzi, gdzie Teatr Nowy i Teatr Powszechny są całkowicie od siebie niezależne. W Poznaniu natomiast przez skupienie

kierownictwa teatrami — Nowym i Polskim — w jednych rękach, możliwości ekspansji artystycznej są o wiele mniejsze, gdy tymczasem różne indywidualności na stanowiskach kierowników artystycznych, a co za tym idzie odmiennosć profiliów artystycznych, dałaby obu teatrom szanse większego i szybszego rozwoju. W „Nowym” można by na przykład wystawiać sztuki kameralne ze specjalnym uwzględnieniem współczesności natomiast w „Polskim” — klasykę, przedstawienia o charakterze widowiskowym.

Ktoś zauważy, że to już teraz mamy, że ten podział repertuarowy w naszych teatrach jest faktem dokonanym od wielu lat. To prawda, nie mniej ta sama batuta odbiera możliwości mobilizującego współzawodnictwa.

O ile mi wiadomo, w najbliższej pięciolatce nie przewiduje się w Poznaniu wzniesienia nowoczesnego gmachu teatru, toteż koncepcja, dotycząca usamodzielnienia się Teatru Nowego, zasługuje chyba na uwagę.

Trzeba jeszcze podkreślić pozytywne ustosunkowanie się dyrekcji Teatru Polskiego do tego projektu, co jest swego rodzaju gwarancją braterskiego i owocującego w wydarzenia kulturalne współzycia między konkurującymi „in spe” teatrami. Ostateczne słowo w tej kwestii należy do władz miejskich.



Scena z „Lekcji” Ionesco; od lewej — Krystyna Szafranka i Krystyna Niemczyk. Fot. — Grażyna Wysosińska

Norbert Karaskiewicz

Solista czy Dyrygent

Kto z nich cieszy się większym zainteresowaniem u publiczności? Stały bywalce koncertów symfonicznych odpowie z pewnością, że solista, obserwując jakże nagminne zjawisko opuszczania sali przez część słuchaczy tuż po wykonaniu utworu solowego z towarzyszeniem orkiestry. Z drugiej strony recitale, które są wyłącznym popisem solisty, nie mają w Pozna-

niu powodzenia. Można by poprzestać na stwierdzeniu, że publiczność bywa różna, kapryśna i nigdy nie wiadomo, co wzbudzi u niej największe zainteresowanie. Pozostawiałyby jeszcze program. Wiadomo, że nawet tak zwane „szlagiery”, pozycje powszechnie znane i dostatecznie „ograne” zawodzą, podczas gdy prawykonania spotykają się z wielkim aplauzem. A więc nie pewnego, na czym można by się oprzeć przy układaniu repertuaru: zapraszaniu takich czy innych solistów albo dyrygentów?

Publiczność jest organizmem żywym, zmiennym i podlega ciągłym ewolucjom podobnie, jak rozwija się bezustannie artysta. Niewątpliwie łatwiej zdobyć jej kredyt entuzjazmu wówczas, gdy występuje renomowany pianista, aniżeli skrzypek albo śpiewaczka. Rozstrzygnięcie w zakresie śpiewu jest u nas tak prymitywne, że nawet krytycy niewiele mają do powiedzenia o interpretacji wokalne — czego przykładem była między innymi niewinniejsza ocena znakomitego wykonawstwa Retchickiej. Nie mówię już o wiolon-

czeli, harfie, organach i szeregu innych instrumentów, których po prostu brak na naszej estradzie.

Z tym fortepianem dzieje się też nie najlepiej. Malcużyński może liczyć na „nadkomplety”, podczas gdy znakomity pianista Żmudziński cieszy się popularnością przede wszystkim wśród publiczności „abonentowej”. Jeśli Żmudziński jest laureatem Konkursu Chopinowskiego, to jaką szansę zdobycia uznania może mieć pianista, rozwijający się poza areną konkursów?

Zajmijmy się z kolei dyrygentem. Roberto Benzi swoim efektownym aczkolwiek służącym muzyce gestem, wywołał spazmy na wypełnionej po brzegi widowni, podczas gdy francuska śpiewność i wdzięk, jakimi zachwycił nas André Rieu w Mozarcie, odebrała znów „abonentowa” tylko publiczność. Wśród szerszych rzesz melomanów, dyrygent, który pojawia się częściej na tej samej estradzie, pozostaje niezauważony. Czy wobec tego muzyka będąca ostatecznym celem przeżyć na sali koncertowej i którą dyrygent współtworzy razem z orkiestrą jest tylko

pretekstem dla popisu znanych i reklamowanych skutecznie „gwiazd”?

Pozostawiam odpowiedź słuchaczowi, temu „od święta”, który nie kupuje abonamentów do Filharmonii i na którego działa przyciągającą samo nazwisko. Działa początkowo, bo już na sali koncertowej ulega emocji muzyki, podświadomie, z czego nie zdaje sobie sprawy, kiedy wywołuje solistę do niekończących się bisów po odegraniu przez niego ostatniej części koncertu. Wówczas zaczyna się recital i mógłby on trwać w nieskończoność, gdyby nie ograniczona fizycznie wytrzymałość pianisty, skrzypka i, o dziwo, również oklaskiwanego wtedy gorąco wioloncelisty. Zastanowienie się nad doznawaniami w takich chwilach przeżyciami, wystarczająco do częstszego odwiedzania Filharmonii, odwiedzania jej również z okazji recitali mniej znanych a przecież często nie mniej znakomitych artystów.

Czasem przymyślnie ułożony program wysuwa na początek dyrygenta i orkiestrę w ich wspólnym popisie w symfonii. I znów słuchacz „niedzielny”, który oczekuje Malcu-

żyńskiego poddaje się muzyce, oklaskując wykonawców ze szczerym wzruszeniem. Gdybyż zechciał powtórzyć tego rodzaju przeżycia świadomie, z własnego wyboru i okazał stałe odtań zainteresowanie temu, co przygotowuje orkiestra pod kierunkiem dyrygenta. Ze słuchacza „niedzielnego” stałby się „abonentowiczem”, przynależącym do społeczności myślących i kochających muzykę melomanów.

Moralizowanie czy reklama Filharmonii? Ani jedno ani drugie. Czasem wystarczy czyjas obserwacja z zewnątrz dla uświadomienia sobie nierozbudzonej w pełni miłości. Zatrącenie się w muzyce czeka wszystkich bez względu na początkowe motyw zainteresowania się nią. Im prędzej przejdziemy drogę do otoczonego blaskiem sławy solisty poprzez dyrygenta i orkiestrę, tym szybciej dojdziemy do źródła muzycznych przeżyć. W rezultacie bardziej właściwa stanie się ocena wkładu, jaki wykonawcy łącznie z publicznością wnoszą przy współtworzeniu i doznawaniu zawartego w muzyce piękna.

Przemysław Bystrzycki

Przez kanał po pierogi

O d dobrych kilku miesięcy front zastęgi nad rzeczką Rapido i wokół Monte Casino, południowe Włochy weszły pod okupację aliantów, na obszarze „buta”: w Kalabrii, panował głód. Dzieciństwo pomussolinowskie. Skalista ziemia z trudem utrzymywała mieszkańców, budowa wschodzącego „Imperium Romanum”, jak to sobie Il Duce obmyślił, wymagała wieloletnich rodzin dla obsadzenia przyszłych kolonii. Włosi i bez zachęty gotowi — ukaz jednak o rozrodności dokonał tego, że kiedy przysła wojna, do niedźwiedzia domostwa Południa zapukała nędza. Przedmiot podniosłych marzeń stanowiła puszka „cornbeefu”, albo biały, niedobry chleb z żołnierskiej spiżarni.

Amerykanów nie lubiano, byli za bogaci i za głośni, Anglicy traktowali tubylców z metropolitalną wyższością, rodacy łatwo znajdowali przyjaciół. Zapraszano Polaków do domów. Apetyczne signoriny przyносиły skromne talerze z „czymś chata bogata”. Pomidory, wino, oliwę, „frutti do mare”. Jądro spisu rozbrajały. Mimo grzechotności mobilizacji nie mogliśmy ruszyć owych „owoców morza”: ostrygi — nie — ostrygi, małutkie ośmiorniczki z cewkami na długich odnóżach plus inne skorupiaki — to ponad siły. Na deser signorinki, tylko piłem wino z wiadomym na Południu efektem.

Ano wojna, front, okupacja. Żaden już zresztą kuchenny dowcip nie potrafił przerazić: nad Adriatyk przyjechałem po dwuletnim stażu w Wielkiej Brytanii. Wyspa zaharowała. Przypuszczam, iż u podstaw dawnej odkrywczosci Albionu legło poszukiwanie lepszej wyżywki ludów pierwotnych. Jest to kulinarny przyczynek do dziejów imperializmu.

Kiedy przed pół rokiem wyjeżdżałem na wyspę ponownie — sercem targały obawy. Z przyczyny prognozy. Do Anglii jedzie samolotem albo pociągami — nigdy „Batorym”. Stawia wysoki stopień: odhartowane, ludzi, odbiera poczucie rzeczywistości, nie polskiej, w Polsce się dobrze jada. Odbiera poczucie rzeczywistości, którą spotkać przyjdzie wśród londyńskiej mgły; po wystawnym menu polskiego statku, tym dobitniej widzi się lichotę na brytyjskim stole.

Ktoś powiedział: angielska kuchnia jest najsprawniejszym sposobem psucia najlepszych produktów. Istotnie: wiktuały kupowane w sklepach, tanie i dobre; przyrządzane w restauracjach drogie i kiepskie. W dużym mieście można dostać chleb żytni, czarny razowy, kiszona (polska!) kapusta, „krakowskie” pieczone, smalec topiony z cebulką, śledzika pod polską wódkę, dzierżącą miejsce honorowe wśród obcojęzycznych etykiet, makę i ser biały na „ruskie” pierogi, wiele rodzajów kasz, z hreczaną włącznie

oraz kukurydzę, którą w Poznaniu od piętnastu lat na darmo staram się kupić. Polacy mogą jeść po swojemu, jeśli gotują w rodzinie. W Nottingham przyjaciel chadzał do ukraińskiego domu na pierogi ze śmietaną. Tak szukał zapachów dzieciństwa.

Po zakupach tedy zaczyna się królestwo wyobraźni, z wejściem do restauracji — kończy się owo królestwo. Nie będę wymieniał miniatury porcji, ni ziemniaków gotowanych (przyprzeczanych w łupinach, puszkowego mięsa z argentyńskiego wołu, twardego jak trąba słonina, wielkiej ilości do przetworów pomidorowych w różnych postaciach:

Kartki z wyspy (4)

soki, sosy, musy, przeciery, przyprawiane na wiele smaków, w rezultacie — bez żadnego, ni owych słynnych krwistych pieczeni (delikatnie jednookich piratów), dalej — majonezu z tub (po paście do zębów!), jednego listka sałaty, dodanego dla dopełnienia gamy barw. Na koniec herbata z mlekiem bardzo często, czasem kompot. Starałem się jadać u „Kombatantów” (dobrze — i trochę ideowo, to znaczy tradycyjnie), kiedyś bawiłem w Londynie i prywatnie — kiedyś bawiłem w Szkocji i Nottinghamu.

W Szkocji — cóż, jak rzekłem: prywatka, muszę przeto taktownie zmienić temat rozmowy. Dość, iż często zmierziałem w kierunku specjalnego sklepiku na „fish and chips”: opiekane w bułce dorsza z frytkami. Stare, wierne „fish and

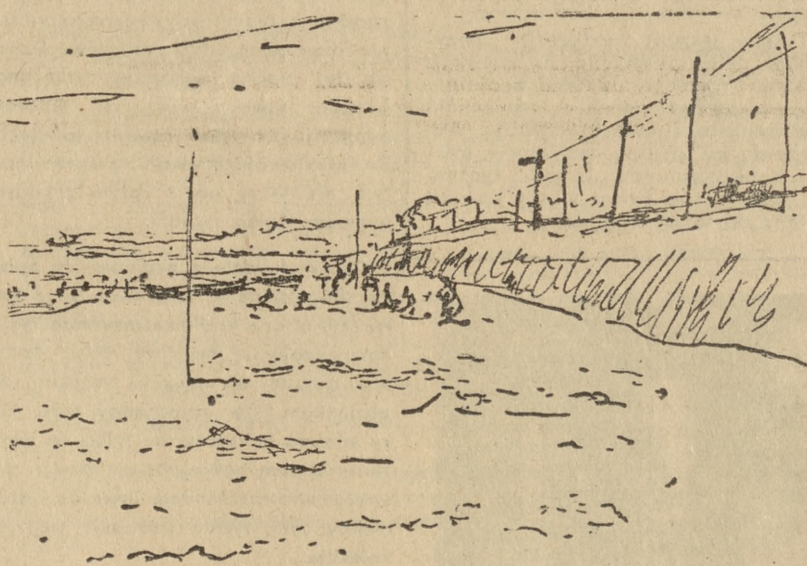
chips” znane z wojny, późny ratunek żołnierskich żołądków po wczesnej kolacji.

Przed powrotem do Polski bawiłem w stolicy ponownie. Wyszukałem sobie grecką knajpkę, pałaszowałem ryby podawane na różne sposoby. Odwiedziłem też w sąsiedztwie przybytek Hindusów. Po miejscowych kłeskach skłonny byłem do ryzyka. Zamówiłem „curry”. Tego jest kilka rodzajów: „curry” z Pendżabu, bodaj z Biharu, może z Orissy, najgroźniejsze chyba z Goa. Jakby nasz gulasz (wołowcy) w tłustościach, prażony, żółtawy ryż — i dużo wody. Coś nieprawdopodobnego. Piekiło w ustach — to określenie sielanki pod podniebieniem. Siódmy krag piekielnych katuszy. Nie ma się u licha, gardła z różnym płatkami miast przeliku, ale po dwóch ruchach widelcem — zaniemówiłem. Żadna potrawa, niechby z tartej papryki plus pieprz, plus polski drzewny ocet, ani w dziesiątek części nie przypomni polskanich żywności „curry”. Może smok wawelski tuż przed eksplozją doznał zbliżonych niepokojów gastrycznych. Nieprzywykli podobno reagują z miejsca... Sam się tylko spociłem. Piłem wodę, jak nasz poczytywał prąjaszczur, na szczęście bez legendarnego efektu.

Hindusi owo „curry” przyprawiają osobliwym korzeniem, którego nazwy nie znam i turmerykiem. Korzeń pochodzi z serca półwyspu. Mniejsza jednak z tym, miałem o angielskim wicie a nie o hinduskim.

Wszystkie grzyby uznają tam za trujące, nie jadają kiszzonej kapusty (zepsuta!), nie pijają kwaśnego mleka. Kuchnia angielska, mimo barwnych galaretek, znanych puddingów i przeróżnych „pies” (placzków z marmoladą lub owocami) jest, generalnie biorąc, obrazą systemu trawiennego. Aby zjeść pierogi ze śmietaną lub smaczną golonkę pod jeden — trzeba przepłynąć Kanał la Manche z powrotem.

Plaża



Linoryt Andrzeja Jeziorkowskiego

Polska anarchia

Na łamach Przeglądu Kulturalnego rozpoczęła się pasjonująca dyskusja. Jej tematem jest polska anarchia, a ściślej mówiąc, rozprawianie się z tym odwiecznym określeniem naszego narodowego charakteru. Dyskusję rozpoczyna artykuł świetnego popularyzatora wiedzy historycznej — Pawła Jasienicy. Autor obala w swoim interesującym artykule mit o polskiej anarchii. Pisz on:

„99 lat temu powiedziano w Warszawie, że dla Polaków można czasem coś zdziałać — z Polakami nigdy! Wyznaje pogląd nieco odmienny. Można i z Polakami, ale trzeba zawsze wiedzieć: jak.”

Jasienica przykładał historycznymi argumentami, że nie naród (oczywiście szlachecki) był anarchiczny, lecz jego władcy. Autor zaproponował dwie interesujące tezy: „Pierwsza: nieprawdą jest, że wódka szczególnie szkodzi Polakom; prawdą jest natomiast, że śmiertelna trucizna dla naszej nacji zawiera woda sodowa.

Druga, pokrewna: nieprawdą jest, że Polacy nie umieją korzystać z wolności; prawdą jest natomiast, że wielu Polaków lubi nadużywać władzy.”

W omawianym artykule, rzecz jasna, pełno jest kwestii dyskusyjnych, budzących wątpliwości a nieraz nawet sprzecznych. W każdym razie artykuł jest prowokujący. Dyskusja nad tzw. polską anarchią będzie na pewno interesująca.

Ustawa o zawodzie lekarza

Pismo pracowników służby zdrowia Służba Zdrowia donosi o gotowym już projekcie ustawy o zawodzie lekarza. Projekt przed wejściem w życie poddany będzie szerokiej dyskusji. Według projektu — za stan chorego odpowiada lekarz prowadzący, a przekazanie chorego pod opiekę specjalisty może nastąpić jedynie wówczas, gdy

wymaga tego leczenie chorego. Nowością jest prawo lekarza do odstąpienia od opieki nad chorym, który nie stosuje się do zaleceń, udaremnia wyniki leczenia lub obraża godność lekarza. Interesujące jest też wprowadzenie zasady zabraniającej lekarzowi udzielania płatnych świadczeń w ramach praktyki prywatnej tym osobom, które lekarz ma obowiązek leczyć z tytułu swej pracy w podstawowych jednostkach organizacyjnych.

Ustawa o zawodzie lekarza jest bardzo potrzebna. Mijamy nadzieję, że dyskusja nad jej projektem potrwa odpowiednio długo, by nie znalazło się w niej zbyt dużych luk i odpowiednio krótko, byśmy jej mogli się w ciągu roku, dwóch doczekać.

Reportaż o kaliskim teatrze

W Polityce ukazał się reportaż Andrzeja Krzysztofa Wróblewskiego pt. „Zasada” w reżyserii Jarosława Abramowa pt. „Zasada” w reżyserii Zbigniewa Besserta wystawianej w Państwowym Teatrze im. Bogusławskiego w Kaliszu. Autor polemizuje m. in. z recenzentem „Ziemi Kaliskiej”:

„Wprawdzie recenzent „Ziemi Kaliskiej” ma za złe teatrowi wystawienie tej sztuki, bo — mówi — „Kto wie czy nie lepiej czasem przeczytać dobry reportaż”, a przecież wszystko to można było napisać w formie reportażu... W tym samym co recenzja numerze... jest reportaż o nadużyciach w tamtejszych Zakładach Ceramiki Budowlanej — jakże błady i niewiele mówiący o psychologicznym tle przestępstwa... Abramow dość gruntownie, ze starannością właściwą debiutantom (...) przerobił swoje słuchowisko na sztukę, przedstawienie odbyło się już kilkadziesiąt, a więc ciemna

Eugeniusz Paukszta

Pisarskimi tropami

Co za pyszna lektura, te „LISTY Z PODROŻY” Antona Edmunda Odyńca, wydane świeżo przez PIW w jednej w najciekawszych serii pamiątkarskich, prowadzonej przez Wacława Zawadzkiego. Obraz podróży dwóch poetów — wielkiego (Mickiewicza) i małego, autora „listów”, wolnułkiem dyktansem przez rozległą Europę. Jakaż wspaniała barwa, jak pełny kształt owego czasu, jaki kolorystyczny, jaki i sam Mickiewicz inny od pomnikowego, gdy go przyjaciel przedstawia tu w przydeptych porannych pan tofiach. I cóż z tego, że już młody Piotr Chmielowski odkrył, że „listy” były sfin-gowane, pisane ex post, tu i ówdzie zelgane, podkoloryzowane. Ale czas, ładnie, epoka, są prawdziwi, uroczy i tacy... inni.

Żeby zaś potem od warstwy pamiątkarskich prawd i zelgań przejść do naukowego widzenia klimatu epoki, zachęcam do lektury wyboru prac Juliana Krzyżanowskiego „W ŚWIECIE ROMANTYCZNYM”, publikacji Wydawnictwa Literackiego, gdzie od sylwetek bohaterów przedromantycznych, Staszcza i Niemcewicza, wchodzimy w wieczny żywoty klimat spraw mickiewiczowskich, pogłębiając wiedzę o Słowackim, Krasińskim, Norwidge, by zamknąć księgę studiami z dziejów powieści romantycznej. Obok erudycji autora, zaskakującej często oryginalności sądów, teksty Krzyżanowskiego pociągają zawsze piękną polszczyzną i rzadką przejrzystością wykładu, nawet suchy temat przeobrażając w pasjonującą lekturę.

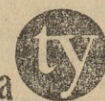
Jak sprawy romantyzmu ciągle u nas są żywe, co raz to od nowa stają się przedmiotem wnikliwych dociekań, świadczyć też może wydana przez „Ossolineum” odkrywcza w niejednym pracu Juliusza Salonia „KOMPOZYCJA DZIADÓW WILEŃSKICH”, asumpt do której dały autorowi spory interpretacyjne przy wystawieniu scenicznym dzieła mickiewiczowskiego. Praca ważna nie tylko dla polonistów i ludzi teatru.

W ogóle daje się zauważyć rosnące zainteresowanie nie tylko samymi tekstami naszych klasyków, ale i sylwetkami ich twórców, ukazanymi nie na wysokich koturnach, ale wśród codziennych spraw, w mozołe tworzenia, w krajobrazie, który kształtował ich osobowość. Nie dziwi też rozgłos i obecne wznowienie popularnej, dobrze napisanej książki Moniki Warneńskiej „SLADAMI PISARZY” (Lu-dowa Spółdzielnia Wydawnicza). Warneńska penetruje kraj w poszukiwaniu miejsc, gdzie odkryć można ślady pobytu Prusa, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Konopnickiej, Żeromskiego, Orkana, Kasprzowicza, Wyspiańskiego i

Reymonta, penetrację tę przeprowadza autorka z pasją i uporem, podbudowuje bogatą lekturą, wspomnieniami innych, wnika-jąc w mniej lub bardziej dawne czasy, doskonale potrafi z tych wszystkich okrucichów odtworzyć żywych ludzi, stworzyć auten-tyczne portrety. Przystępność stylu sprawia, że książkę Warneńskiej czyta się jak najlepszą powieść.

Skoro o Kasprzowicza mowa, pocie tak bliskim wielkopolskim sercem, spieszę zaanonsować nową, celną pozycję Wydawnictwa Poznańskiego, książkę Romana Lotha „MŁODOŚĆ JANA KASPROWICZA”. Jest to właściwie

z książką na



mimo zastosowania pełnej aparatury badawczej, utwór biograficzny, żywy obraz lat młodzieńczych

Kasprzowicza po moment osiągnięcia stabilizacji życiowej i nade wszystko, po moment wydania pierwszego tomiku „Poezji”. Wielkopolska i Śląsk stanowią tło, na którym R. Loth ukazuje Kasprzowicza często w sposób zupełnie nowy, rezultat bogatej dokumentacji i zacieklego tropienia śladów kasprzowiczowskich. Ciekawy ten okres życia poety, wiatr mu nie raz okrutnie dmie w oczy, droga sławy jeszcze daleka, przeciwności często więcej niż sukcesów, ale zmagając się z tym wszystkim, nie ustępuje, jakby świadom swych możliwości i swych talentów.

I znowu pisarz, który choć buntowniczo, spory szmat swego losu także związał z Poznaniem, odpalającym mu teraz żywym zawsze zainteresowaniem. Myślę o Zegadłowiczu, którego przypomina nam Władysław Studencki w wydanym przez „Ossolineum” pt. „TWORCZOŚĆ DRAMATYCZNA EMILA ZEGADŁOWICZA”, studium analizującym dramaty autora „Powsinogów” według chronologii ich powstawania, a także ukazującym stosunek ich autora do prądów artystycznych swego okresu. Pierwszą to wnikliwy obraz dramaturgii tego dynamicznego, ale najmniej chyba ze wszystkich zharmonizowanego wewnętrznie pisarza.

I jeszcze jeden rarytas z dziedziny dążenia pisarskimi tropami, wydany przez Wydawnictwo Poznańskie tom Stanisława Czer-nika „OKOLICA POETÓW”, mieszczący wspomnienia i materiały twórcy i redaktora pisma poetyckiego, głoszącego czernikowski program „autentyzmu”, wychodzącego w małym Ostrzeszowie, skupiającego tole najpierwszych nazwisk, usiłującego ratować sytuację i poziom polskiej literatury. Wspomnienia żywe i ciekawe, pobrzmiewające często szczerą pasją, równie często dyskusyjne w sformułowaniach, w sumie ukazujące niesfalszowany obraz jednego z ciekawszych zjawisk literackich okresu dwudziestolecia.

zmora kłapy rozwiązała się w niepamięć (...) Dyrektorowi Kubalskiemu, zamiast narzekań współziom-ków, należy się order Ministra Kultury, nie mówiąc już o drugim od komendanta MO za profilaktyczne zwalczanie nadużyć.”

Autor kończy swój reportaż stwierdzeniem: „Zadane z pism kulturalnych, społecznych, nikt z wysokich olimpów sztuki i kultury nie zdobył się na te cztery godziny pośpiesznych od Warszawy. Strach pomyśleć, co by to było gdyby współczesnego Hamleta (mowa o „Zasadzie” — dop. Lektora) wystawiono w Suwałkach albo w Bochni, dokąd połączenia są o parę godzin dłuższe.”

Czy tylko Kalisz jest tak oddalony od Olimpu stołecznego? Ileż jest w Polsce miast, nawet większych niż Kalisz, nawet wojewódzkich, posiadających własne ambitne środowiska kulturalne, o których — mimo osiągnięć i z trudem zdobytych sukcesów w warszawskiej prasie społeczno-kulturalnej glucho.

Socjologiczne problemy wsi

Tygodnik Kulturalny artykułem Dyzym Gałaja pt. O niektórych socjologicznych problemach współczesnej wsi zaprasza do dyskusji nad tą interesującą problematyką.

Czytamy: „Wiesz... będąc zespołem drobnotowarowych gospodarstw, na których chłop-rolnik pracuje i równocześnie żyje jest kategorią anachroniczną (na wytworzoną w formacjach jeszcze przedkapita-listycznych), lecz poddającą się wpływowi miasta i pozarolniczych działań gospodarki narodowej i na skutek tego jest kategorią ulegającą ciągłym i stopniowym przeobrażeniom.”

Autor nie upraszcza jednak ani obrazu ekono-micznego, ani społecznego współczesnej wsi. Zwraca uwagę na dokonujące się przeobrażenia, na niezbędne jeszcze procesy.

LEKTOR



Samorząd robotniczy dziś

Pod takim tytułem ukazał się w Prawie i Życiu artykuł Mariana Błażejczyka, poświęcony aktualnym sprawom samorządu robotniczego, poruszającym m. in. na lutym XVI Plenum CRZZ. Autor m. in. zastanawia się nad pewnymi wypaczeniami samorządu robotniczego:

„Najbardziej szkodliwym w skutkach jest wy-lanie tzw. „prezydium samorządu robotniczego”, złożonego zazwyczaj z czterech osób (przewodniczących rad robotniczej i zakładowej, sekretarza POP i dyrektora), które dla „uoperat-wienia” samorządu robotniczego przejmują zazwyczaj najistotniejsze kompetencje KSR i rady robotniczej (patrz przykład w referacie tow. Logi-Sowińskiego). Działalność takich „prezidiów” nie mieści się w ustawie o samorządzie robotniczym, a decyzje przez nie podejmowane są z prawnego punktu widzenia decyzjami nielegalnymi (podkr. Lektora).”

O ile wiadomo Lektorowi — w Poznańskim na szczęście te zjawiska nie są typowe. Warto jednak, żeby związki zawodowe sprawujące swoi-ście nadzór nad działalnością samorządu robotni-czego, tak prowadziły swoją pracę nadzorczą, by zapobiegać na przyszłość tego rodzaju przeja-wom.